

Nie wszyscy lubią jednoosobowe sztuki (ja — bardzo) ale i dla innych „one woman show” Willy Russella będzie przyjemną, do-wcipną rozrywką. Oczywiście, podstawowym warunkiem powo-żenia tej sztuki jest osobowość i gra aktorki.

Gdy dowiedziałam się, że Shirley Valentine w Warszawie, w Teatrze Powszechnym gra Krystyna Janda — wiedziałam, że to rola dla niej i że zapelni bez reszty półtorej godziny samotności na scenie, przez którą przewija się plejada różnych, a nieobecnych postaci — rodziny, przyjaciół, przygodnych znajomych. Rozmawia z nimi w pustym przeciw pokoju, czyli „gada do ściany” — i ta ściana staje się rzeczywistością drugą ważną postacią w sztuce.

Autor sztuki, Willy Russell, pochodzi z Liverpoolu i bohaterka sztuki też jest „liverpudlianką”. Nie znaczą to, że takie charaktery i takie sytuacje zdarzają się tylko w Liverpoolu — zaważyło to tylko na premierze w Theatre Royal w Brighton, gdyż i wykonawczyni sztuki też pochodziła z Liverpoolu, (produkcja przeznaczona na objazd Anglii) i mówiła charakterystycznym liverpoolskim akcentem, co może i dodawało właściwego „couleur locale”, ale niałatwo było ją zrozumieć, a już na pewno nawiązać kontakt.

Shirley Valentine to typowa angielska „housewife” — a właściwie nie tylko angielska — wszędzie i w różnych sferach znajdują się takie — mniej lub bardziej prymitywne — żony, matki, sąsiadki. Mąż milczek, po pracy zajęty futbollem, poolem, w najlepszym wypadku telewizją. Nie mają wspólnego języka, on — żadnego zrozumienia dla żony uważa ją za własność do sprzą-tania, gotowania i zajmowania się dziećmi... Dzieci, gdy dorosną, znikają z domu i uważają matkę opasaną fartuchem przy zlewie za odpowiednie dla niej miejsce. Pomysł wycieczki do Grecji uważają za wręcz nieprzyzwoity. Mężowi nie ośmieliłaby się ona przyznać nawet do takiej myśli. Taką kobietą jest Shirley Valentine — zbuntowana czterdziestoletnia „housewife”. Właściwie nie zbuntowana, bo dawno pogodziła się z losem i żali się tylko ścianie, że marzy, żeby choć raz w życiu wysił się jej sen o podróży do kraju, gdzie rosną winogrona. A winko bardzo lubi.

Krystyna Janda nie tylko poka-zała wdzięk, komizm, tempera-ment postaci, nie tylko przybliżyła jej problemy, ich uniwersalność, ale zaangażowała nas w swoje sprawy tak, że sami staliśmy się tą „ścianą”, do której ona przema-wia, odpowiadamy jej bezgłośnie, prowadzimy z nią monologizację. Janda i my — ściana. Krystyna Janda, wspaniała aktorka — w komedii, dramacie i nawet tragedii

Krystyna Janda w Teatrze POSK-u

Tamara Karren

greckiej („Medea”), którą to rolę przekonała o swoim talencie najo-porniejszych. Jednocześnie jest prostą, zwyczajną dziewczyną, bez poży, bez fałszywych sztuczek. Ma



w sobie wrodzony wstręt do uda-wania kogoś kim nie jest, rozwi-nięty jeszcze przez jej „mistrzów” — Wajdę i Hübnera. Dlatego tak wciąga w obcowanie z sobą, że zapomina się, że dzieli nas rampa sceniczna. Moglibyśmy z różnym

powodzeniem siedzieć z nią przy kuchennym stole, a nawet oierać z nią kartofle. Była to wielka radość dzielić z nią jej nastroje — żartobliwość, niecierpliwść, złość wyrażająca się dość kwiecistym słownictwem (niektórzy twierdzili, że za kwiecistym, wina to autora, nie aktorki, a nawet nie reżysera. A my ciągle mamy za „wrażliwe uszy na to co wypada, a co nie).

Niestety, w akcie drugim tempo opada, jest za statyczne. Na greckiej skalce nic się nie dzieje, urocza Shirley zamiast być roz-graną greckim słońcem i nawiązu-jącą się przyciągając (do której ucieka) — leży na leżaku i mówi, mówi, mówi. Wina leży nie w aktorce, ale w jakiejś mniej bar-wnej niż zwykle reżyserii, dobrze nam znanego, utalentowanego re-żysera Macieja Wojtyzki („Kandyd”). Dlaczego nie pokazał nam rozbuchanej kobiecości nowo urodzonej Shirley Valentine? Ko-niec zatracił niedomówioną po-etyckość spotkania się w Grecji ze stęsknionym mężem, która to sce-na tak słicznie wyszła w filmie o tej samej nazwie z uroczą Pauline (Dokończenie na str. 7)

Collins. Nie udało mi się zrozumieć symboliki wkładanej i zdejmowanej (bunt przed mieszczaństwem?) peruki. Jeśli chodzi o efekt — wolałam gładko ściągnięte piękne włosy Jandy od „trwałej” ondulacji małego miasteczka.

Mimo tych małych usterek była to wielka przyjemność spotkania z Jandą i uczestniczenia w jej wielobarwnej interpretacji „sfrustrowanej”, ale nie rezygnującej ze swej indywidualności kobiety w średnim wieku. Przedstawienie uzupełniała realistyczna i dobra w nastroju, szczególnie w I akcie scenografia Ewy Bytrzejewskiej.

Należy się podziękowanie Urszuli Świącickiej za udostępnienie nam tego uroczego spektaklu, jak też wszystkim z obsługi technicznej i scenicznej, którzy przyczynili się do sprawności przedstawienia.

Tamara Karren